

Kamieniołom

Karol Wojtyła

I. Tworzywo

1.

Słuchaj, kiedy stuk młotów miarowy i tak bardzo swój
przenoszę wewnątrz ludzi, by badać siłę uderzeń –
słuchaj, prąd elektryczny kamienistą rozcina rzekę –
a we mnie narasta myśl, narasta dzień po dniu,
że cała wielkość tej pracy znajduje się wewnątrz człowieka.

Twarda, pęknięta dłoń inaczej młotem wzbiera,
inaczej się rozwiązuje w kamieniu ludzka myśl –
kiedy energie ludzkie oddzielisz od sił kamienia
i przetniesz w właściwym miejscu – tętnicę pełną krwi.

O, popatrz, jak można miłować w takim gruntownym gniewie,
który wpada w oddechy ludzi jak rzeka od wiatru pochyła,
i nie dochodzi do głosu, tylko struny wysokie zerwie –
przechodnie pierzchają do bram –
ktos głosem ściszonej powiedział: to jednak jest wielka siła.

Nie lękaj się. Sprawy ludzkie szerokie mają brzegi.
Nie wolno ich w ciasnym łożysku więzić nazbyt długo.
Nie lękaj się. Sprawy ludzkie stoją od wieków
w Tym, na którego patrzysz poprzez młotów miarowy stukot.

2.

Związane są bloki kamienia przewodem niskiego prądu,
który wcina się w nie tak głęboko, jak niewidzialny bicz
– kamienie znają ten gwałt,
kiedy dojrzałą spoistość nieuchwytny rozpruwa podmuch,
który odrywa je z nagłą od ich wieczystej prostoty
– kamienie znają ten gwałt.
Jednak nie prąd elektryczny rozwiązuje w całości ich moc,

ale ten, co ją nosi w swych dłoniach:
robotnik.

3.

Dłonie są krajobrazem serca. Dłonie pękają nieraz
jak wąwozy, którymi się toczy nieokreślony żywioł.
Te same dłonie, które człowiek wówczas dopiero otwiera,
gdy nasycone są trudem –
i widzi, że przez niego jednego inni ludzie spokojni już idą.

Dłonie są krajobrazem. Gdy pękną, to wtedy w ranach
wzbiera fizyczny ból, rwący swobodnie jak strumień.
Ale człowiek nie myśli o bólu.
Ból sam jeszcze nie jest wielkością,
a swej właściwej wielkości on po prostu nazwać nie umie.

4.

Przecież nie tylko ręce opadają ciężarem młota,
nie tylko wzbiera tors i mięśnie kształtują swój styl –
ale przez pracę jego myśli głębokie wiodą,
by się wiązać zmarszczkami na czole,
by się wiązać wysoko nad głową ostrym łukiem ramion i żył.

Gdy więc tak się na chwilę przemieni w przekrój gotyckiej budowli,
który przenika zrodzony z jego myśli i oczu pion –
to nie jest tylko profil!
to nie jest tylko postać między kamieniem a Bogiem
skazana na wielkość i błąd!

II. Natchnienie

1.

Praca zaczęła się wewnątrz, a na zewnątrz ma tyle przestrzeni,
że dłonie ogarnia natychmiast i dosięga do granic oddechu.
Oto spójrz: wola trafiła w kamienia głęboki dzwon.
Kiedy myśl uzyskuje swą pewność,
wówczas razem dosięgły szczytu serce i dłoń.

Za ten pion, za tę pewność umysłu, za pewność oka
płaci się ręką szczodłą.
Wydaje ci kamień swą moc, a przez pracę dojrzewa człowiek,
ona bowiem niesie natchnienie trudnego dobra.

I od niej się to zaczyna, co narasta w sercu i myślach,
co tyle ważnych wydarzeń i ludzi tylu osacza
– jakaż miłość dojrzewa w młotach!
Grupki dzieci poniosą ją w przyszłość,
śpiewając: "w sercach ojców bezgraniczna spełniała się praca".

2.

To natchnienie w dłoniach nie zostaje. Do kamienistych rdzeni
zstępuje przez serce człowieka, które tworzy osobny rdzeń.
I od niego rozrasta się w ziemi historia kamieni,
a w ludziach ta równowaga, którą miłość osiąga przez gniew.

One obie prowadzą człowieka, nie wyczerpią się w ludziach nigdy,
nie ustaną w napięciu ramion ani w serca ukrytym geście –
a biorą się z siebie wzajemnie, dopełniają się taką dźwignią,
która myśli i ruchy zespała w nierozzerwalny pierścień.

Więc jeśli chcesz trafić z daleka i wejść, i w ludziach pozostać,
to musisz obie te siły skupić mową nad wyraz prostą
(mowa twoja nie może prysnąć w napięciach owej dźwigni,
którą tworzą miłość i gniew).
Wówczas nikt Cię nie wydrze z człowieka, nie oderwie od niego nigdy.

III. Uczestnictwo

Oto światło surowej deski niedawno wyjęte z pnia
upływa w twoją dłoń ogromem wszelkiej pracy.
A całe tej dłoni napięcie o taki opiera się Akt,
że wszystko przenika w człowieku i wszystko gładzi.
Człowiek ma oczy zmęczone i ostre brwi.
Kamienie mają krawędzie ostre jak noże,
Prąd elektryczny tnie ściany jak niewidzialny bicz,
Słońce, lipcowe słońce. W kamieniach biały pożar.

Czyż ręce moje należą do światła, co blaskiem przecina
tory kolejki, kilofy i w górze nad nami płot?
Moje ręce należą do serca, a serce nie przeklina –
(oddalaj serce od ust, gdy usta prostacko klną!).
Znam was, wspaniali ludzie, ludzie bez manier i form.
Umiem patrzeć w serce człowieka bez obłon i bez pozorów.
Czyjeś ręce należą do pracy, czyjeś ręce należą do krzyża.
W górze nad wami płot – tam kilofy rozrzucone na torach.

Są puste miejsca w kamieniach – nie trafiaj na takie miejsca!
Filary podcięte prądem zsypują się w dół jak do naczyń.
Młodzi szukają drogi. Wprost w moje serce
uderza droga wszystkich. Czyż kamień przebacza?

Słuchaj, gdyby świat stanął w tej równowadze rąk,
którą przez każdy wybuch kamienia i człowieka
rozpościerasz niezmiernie nad płotem, o kilka kroków stąd
– tamtędy czasem dziecko nieostrożnie przebiega.

Lecz równowaga ta, którą samotnie trzymasz,
wydaje się równocześnie za blisko i za daleko.
Trzeba się nagiąć zarazem i zarazem trzeba się wspiąć.
(Dziecko jest nieostrożne i łatwo tamtędy przebiega.)

I znów zostaje milczenie między sercem, kamieniem i drzewem.
Każdy w nie może wejść. Jeśli wszedł, pozostanie sobą.
Jeśli nie wszedł, to mimo pozorów, we wszystkich sprawach ziemi
nie uczestniczy dotąd.

(Pamięci towarzysza pracy)

1.

Nie był sam. Mięśnie jego wrastały w ogromny tłum,
dopóki dźwigały młot i pulsowały energią –
Lecz trwało to wszystko tak długo, dokąd czuł pod stopami grunt,
dokąd kamień nie zmiażdżył mu skroni
i nie przeciął komór serca.

2.

Wzięli ciało, szli milczącym szeregiem.

3.

Trud jeszcze zstępował od niego i jakaś krzywda.
Mieli bluzy szare, buty wyżej kostek w błocie.
Ujawniali właśnie to wszystko,
co wśród ludzi powinno się skończyć.

4.

Czas jego stanął gwałtownie. W zegarach niskiego prądu
zerwały się nagle wskazówki i spadły z powrotem do zera.
Przeniknął go biały kamień, w istotę jego się wżarł
i przejął ją wreszcie na tyle, że stała się sama kamieniem.

5.

Któż z niej odwali kamień? Kto myśli na nowo rozpostrze
W skroniach głęboko pękniętych – tak pęka na ścianie tynk.
Złożyli go milcząc plecami na płachcie żwiru.
Przyszła znękana żona i wrócił ze szkoły syn.

6.

Czy dotąd? Czy jego gniew ma się tylko na innych przelać?
Czy nie dojrzał w nim samym własną miłością i prawdą?
Czyż mają go jak tworzywo zużyć pokolenia
i wyzuć z treści najgłębszej, jedynej i własnej?

7.

I znowu ruszyły kamienie. Wagonik ginie w kwiatach.
I znowu prąd elektryczny ściany głęboko tnie.
Lecz człowiek zabrał z sobą wewnętrzną strukturę świata,
w której miłość tym wyżej wybuchnie, im większy nasycą ją gniew.

1956